



**Jadwiga  
Jankowska-Cieślak**

PORTRET NA ŻYCZENIE Urszuli Krzeczakowskiej z Warszawy — JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK.

Fot. RENATA PAJCHEL

# Ucieczka

## od własnego wizerunku

— Jest pani warszawianką?

— Nie, jestem rodowitą gdańszczanką. A mama jest gdańszczanką przedwojenną. I rodzinnie jesteśmy zakochani w Gdańsku. Chociaż później musieliśmy opuścić miasto mego dzieciństwa i młodości mojej matki, zawsze z sentymentem wracamy tam myślni. Mieszkaliśmy we Wrzeszczu, przy ul. Słowackiego. Pamiętam nasz dom i wielki ogród, który odgradzał nas od hałasu miasta. Kiedyś były tam stare rudery, wyburzane domy i mnóstwo zaniedbanych ogrodów z dzikimi gruszami, sliwami. To był prawdziwy raj. Bawiliśmy się tam w podchody, w Indian. Ja i moi trzej bracia.

Lubiłam taniec. Ale kiedy już miałam zapisać się na naukę tańca nastąpiła przeprowadzka do Warszawy. Miałam wtedy 11 lat. Po szkole i liceum zaczęłam marzyć o matematyce. Pociągało mnie abstrakcyjne myślenie i logiczność tej nauki. Aż kiedyś nagle uświadomiłam sobie, że to co mnie pociąga, to jest szkoła teatralna. Dowiedziałam się, że tam niewiele wymagają...

— ???

— Naprawdę! Niewiele z tego, w czym nie byłam najmocniejsza. Dowiedziałam się, że trzeba orientować się w literaturze współczesnej, polskiej i światowej. Mieć pojęcie, co się dzieje w teatrze i innych sztukach. A nauczyć się kilku tekstów na pamięć, to każdy potrafi. Więc nauczyłam się tekstów i zdałam. Najlepiej teorię, to znaczy to, z czego się nie przygotowywałam. Tekst „Zaloty Telimenu do Tadeusza” widocznie przypadł egzaminatorom do gustu.

— Po prostu błysnęła pani talentem. A kogo pamięta pani z egzaminatorów?

— Tam siedziały wielkie „tuzy”: profesorowie Świdorski, Bardini, Rudzki, Ryszarda Hanin.

— Wcześniej jednak chodziła pani do Pałacu Młodzieży na zajęcia w kółku teatralnym?

— Zajęcia prowadziła wspaniała pani, która nauczyła mnie kochać teatr. Przedtem nie tylko, że nie

chodziłam do teatru, ale w ogóle nie lubiłam go.

— Jak wypadła praca dyplomowa?

— Uważam, że moim największym osiągnięciem aktorskim jest właśnie praca dyplomowa u Jarockiego. Zagrałam matkę w „Matce” Witkacego. Rola dojrzałej kobiety. A ja miałam wtedy lat dwadzieścia. Ale tak naprawdę „zaistniałam” na rynku i w świadomości widzów po roli w filmie Morgensterna „Trzeba zabić tę miłość”.

— Co pani ceni w zawodzie aktorskim najbardziej?

— Rzemiosło plus osobowość, która przez to rzemiosło się przebija. Najbardziej mnie cieszy zmaganie się z rolą, ze sobą samą, pokonywanie trudności. Jednym słowem, gdy roli nie wspierają tylko środki zewnętrzne. W „Matce” musiałam pokazać, że jest to 50-letnia kobieta. Zagrać więc nie siebie, lecz wyobrażenie o tej postaci. To jest trudne, ale i fascynujące.

— A więc ucieczka od własnego wizerunku?

— W pewnym sensie. Bo jednocześnie nie można wyzbyć się siebie dokładnie, zapomnieć o sobie. Jest to więc przetworzenie wiedzy o sobie i o otaczającym nas świecie na użytek postaci, którą się przedstawia.

— Nad czym pracowała pani ostatnio?

— Kręciłam w Saarbrücken w RFN film według scenariusza Zannussiego i Żebrowskiego. Tytuł oryginalny filmu „Nacht Dienst”. Polski tytuł „Miłosierdzie płatne z góry”. Gram tam młodą „ausländerkę” — Jugosłowiankę, która angażuje się na pielęgniarkę do starej samotnej baronowej, zdiwaczalnej kobiety.

— Znów rola pielęgniarki?

— Wszystkie niemal moje role były powiązane z tym zawodem lub odcierały się o zawód pielęgniarki: w filmie RFN-owskim, w „Orderach i odznaczeniach”, u Kutza w „Znikąd do nikąd”.

— Czasami bywa to mały przewrotny łobuziak, jak w telewizyjnym spektaklu Osieckiej „Sentymenty”, gdzie grała pani hipiszkę.

— Chciałabym grać osoby zbulwersowane, przekrecone wewnętrznie, jeźzowate. Dlatego wysoko bębnię sobie rolę Mańki, tego psychicznego pokurcza ze „Ślubu” Gombrowicza.

— Czy mąż pani też jest aktorem?

— Tak, ale studiuje obecnie reżyserię, więc mam nadzieję, że już nie długo nie będzie aktorem.

— Wiem, że ubóstwia pani córeczkę, trzyletnią Zosię...

— Narazie mam jedno dziecko. Nieraz wydaje mi się, że moim powołaniem jest chyba macierzyństwo. Nie skończy się zatem na jedynaczce, chociaż dziecko to konkurencja dla aktorstwa szalenie absorbująca. Nie chciałabym, aby została aktorką. Jest to bowiem zawód, który spala człowieka nieproporcjonalnie do zadowolenia. Duża jest ilość niepowodzeń.

— A jednak nie zamieniłaby pani na matematykę?

— Ale na cyrk chyba tak. Ostatnio jeździłam na rowerze w imprezie cyrkowej na Centrum Zdrowia Dziecka. Nasze trio — Janek Englert, Krzysztof Kolberger i ja — zdobyło sympatię widzów. Artysta cyrkowy to przepiękny zawód. Zakochałam się w cyrku. I jak mi się kiedyś wszystko zdziwi i będę miała wszystkiego dość, to poproszę, żeby mnie przyjęli do cyrku. Jest to taka dziedzina sztuki, w której człowiek się naprawdę sprawdza. Tam musi być wszystko uczciwie wykonane. Nie można się niczym zasłonić.

— Od paru lat jest pani w Teatrze Dramatycznym. Oglądaliśmy panią w „Elektrze” Giraudoux, w reżyserii Dejmka. Sztuka szła około 2 lat. Teraz — w „Anegdotach prowincjonalnych” Wampitowa.

— Ale po studiach pojechałam do Puław. Był tam teatr eksperymentalny i ideały, aby stworzyć nowy teatr, rządzący się innymi prawami, taki szlachetny szalenie. Niestety nic z tego nie wyszło.

— Co panią najbardziej razi w otaczającym świecie?

— Ludzka nieżyczliwość. Trzeba być bardzo silnym człowiekiem, że-

by to znosić. Ostatnio na przykład kupiłam sobie „malucha” i postanowiłam, że będę kierowcą-dżentelmenem. Szybko miałam okazję przekonać się jak bardzo jestem w tym postanowieniu odosobniona.

— Smutne. Czego jeszcze możemy oczekiwać od aktorki Jadwigi Jan-kowskiej-Cieślak?

— Nie wiem. Już wszystko zaliczyłam: teatr, film, TV, kabaret, cyrk — więc chyba pozostaje mi emerytura...

— Kokieteria? Czy kapitulacja w wieku 25 lat? Czy pani jest pesymistką?

— Teraz jest wiele innych, ciekawszych osób, nowych twarzy.

— Gra pani często role dziewcząt. Trafnie przekazuje ich zachowanie, mentalność. Należy pani do młodzieży. Jakie dominujące cechy dostrzega pani u rówieśników?

— Młodszy ode mnie, którzy obecnie studiują, są w jakimś stopniu mądrzejsi, niż ja byłam w ich wieku. Moi rówieśnicy i młodszy ode mnie mają jedną bardzo dobrą cechę: dają otwarcie do osiągnięcia pewnego poziomu życia, który umożliwi dalszy, udany start. Młodzi chcą mieć od razu mieszkanie, samochód. Uważam to za słuszne, bo dopiero potem można myśleć o wyższych sprawach. Mając zaspokojone podstawowe potrzeby można działać społecznie, poświęcić się z zapałem swojej pracy, rozwijać swoją osobowość, pomagać sobie.

— Ale nie uznaje pani chyba gotowych prezentów jako jedynego sposobu rozwiązania sprawy?

— Wszystko trzeba osiągnąć własną pracą, własnymi rękami. Myśmy z mężem sami dorobili się wszystkiego. Od pół roku mamy własne mieszkanie, samochód. Pracowaliśmy dużo. Chodzi o to tylko, żeby wszystko, a zwłaszcza mieszkanie nie było takie mgławicowe, takie odległe w czasie. Żeby zapisując się do spółdzielni mieszkaniowej nie trzeba było czekać 10 lat lub dłużej.

Rozmawiała  
Ludmila Gutkowska